

Arye Edelist¹

Wspomnienia

DZIECIŃSTWO

Moje pierwsze wspomnienia sięgają czasu, kiedy byłem chłopcem w wieku 3-4 lat. Mój brat, o dwa lata starszy ode mnie, rozpoczął naukę w chederze („cheder” – szkoła skrajnie religijna dla młodych chłopców, raczej dzieci), w której nauczano wyłącznie nauki religijne. Był to dla mnie wielki zaszczyt, że rodzice zgodzili się abym w wieku 3 lat uczęszczał do chederu razem z moim starszym bratem. Codziennie, zimą i latem, od godziny ósmej rano do drugiej po południu przebywałem w chederze a po obiedzie wracałem by powtarzać poranną naukę.

Pamiętam jak chodziłem z bratem z ul. Krakowskiej wzdłuż Nowego Rynku (Plac Daszyńskiego) aż do domu pod numerem 14-tym (u wylotu Pierwszej Alei N.M.P.). W drodze do domu z chederu zawsze spotykaliśmy staruszkę, która sprzedawała ciepłe obwarzanki. Wielka to była radość, gdy brat kupował jeden obwarzanek, dzielił go na dwie części i dawał mi połówkę. Gdy dochodziliśmy do domu nie było już po nim śladu. I tak przez dwa lata uczęszczałem do chederu, który należał do starszego siwego pana, Benjamina Litwaka.

Po dwóch latach, po ukończeniu chederu, umiałem czytać i pisać po żydowsku, byłem w stanie tłumaczyć i opowiadać ustępy z Tory (Pięcioksiągu). Kontynuowałem naukę w bardziej zaawansowanych chederach gdzie odbywały się też zajęcia świeckie – jedna godzina dziennie. Szkoła taka pod nazwą „Agudat Israel” mieściła się przy ul. Berka Joselewicza. Po południu do chederu przychodził nauczyciel, który uczył nas wszystkich przedmiotów świeckich.

W 1935-36 r. uchwalona została ustawa zakazująca wydawania zezwoleń na prowadzenie interesu lub zakładanie firm osobom, które nie ukończyły przynajmniej szkoły powszechnej. Był to cios dla szkół religijnych (chederów), które nie posiadały prawa wydawania świadectw szkolnych i nie godziły się na wprowadzanie nauk świeckich. W Polsce znane były dwie szkoły – w Będzinie i Łodzi – należące do skrajnie-religijnej sieci „Agudat Israel”, które miały prawa powszechnej szkoły. Rodzice postanowili wysłać mnie do Będzina, abym właśnie tam otrzymał świadectwo ukończenia szkoły powszechnej.

Trudno sobie wyobrazić mój smutek i płacz przed każdym półrocznym wyjazdem z domu do Będzina. Mój pobyt w Będzinie był dla mnie bardzo trudny i szary. Mieszkałem przy rodzinie, u starszej pary, w małym mieszkaniu naprzeciwko dworca kolejowego. Szkolne zajęcia trwały od godziny ósmej rano do siódmej wieczorem. Wymęczony

¹ Arye Edelist – Przewodniczący Związku Żydów Częstochowian w Izraelu. Wspomnienia spisane w sierpniu 2010 roku.

całodniową nauką, religijną i świecką, wieczorami musiałem jeszcze odrabiać lekcje sam i bez pomocy. Ze względu na to, że wcześniej nie uczęszczałem do normalnej szkoły, miałem początkowo ogromne trudności z przedmiotami humanistycznymi, przede wszystkim, dlatego, że zgodnie z moim wiekiem wstąpiłem do 6-go oddziału (przedostatnia klasa przed ukończeniem szkoły powszechnej).

Mimo trudności, otrzymałem moje świadectwo w 1937 r. i wróciłem do domu. Rodzice uważali, że w Częstochowie nie ma dla mnie odpowiedniego miejsca nauki i wysłali mnie na wyższą uczelnię nauk religijnych, („Jesziwat Keter Tora”) najpierw w Częstochowie a następnie we Mstowie, koło Częstochowy. Szkołą kierował znany talmudysta, Rabin Einhorn, a uczęszczali do niej chłopcy z całego kraju. Tu studiowałem prawie dwa lata, aż do 1939 roku.

W mstowskiej jesziwie nie było klas ani innego podziału według wieku. Uczniowie w wieku od 14 do 20 lat studiowali według jednolitego programu. Byłem najmłodszym uczniem, miałem około trzynastu lat. Rabin Einhorn był jedynym wykładowcą. Wykłady odbywały się raz dziennie i trwały około trzech godzin. Na ogół składały się z tekstu Talmudu, zredagowanego w V wieku, z interpretacji średniowiecznych, a także bardziej nowoczesnych interpretacji, i z własnych przemyśleń i interpretacji Rabina Einhorna.

Pozostałe godziny, poza godzinami wykładów rabina, były do naszej dyspozycji, tzn. nauka była zupełnie samodzielna, bez żadnej kontroli, oprócz ogólnych wskazówek, co do dziedzin nauki, pod warunkiem, aby były one religijno-scholastyczne. Innych zajęć lub nauk nie było. Każdy uczeń miał partnera, drugiego ucznia, z którym wspólnie, o własnych siłach, studiowali inne tomy Talmudu a w pozostałym czasie każdy uczeń pracował samodzielnie.

Wszystkie nauki odbywały się w wielkiej sali w budynku, w którym znajdowała się też jedyna synagoga Mstowa.

Studenci mieszkali w dwupiętrowym budynku. W każdym pokoju mieszkało 3-4 studentów. Wstawało się o godz. 6.30, a o 9.00, po modlitwie i śniadaniu, siadało się do nauki aż do godz. 22-23, z godzinną przerwą obiadową i przerwami na modlitwę. W czwartki po kolacji (o godz. 20-21, zależnie od pory roku) wracaliśmy do nauki aż do wczesnego poranka a w piątki, wyczerpani po nieprzespanej nocy, kładliśmy się spać zaraz po kolacji, spaliśmy do północy i wracaliśmy do nauki aż do soboty rano.

Nauka w godzinach nocnych była „poza programem”. Rabin formalnie nie był wtajemniczony a nawet wyrażał się krytycznie o takim sposobie życia.

Trzeba wziąć pod uwagę, że studenci należeli do ruchu chasydzkiego (większość studentów należała do odłamu „Góry Kalwarii”), byli skrajnie religijni i nie ulegali w tych sprawach woli Rabina.

DOM RODZINNY

Od dzieciństwa, rodzina nasza, ojciec Noach, matka Mindla, siostra Lola, brat Menachem i ja, mieszkała na Placu Daszyńskiego pod numerem 14-tym w dwupokojowym mieszkaniu na pierwszym piętrze.

Ojciec był przemysłowcem. Do 1933 r. posiadał fabryczkę gilz na ul. Warszawskiej 21, a od 1933 r. – przedsiębiorstwo produkcji okuć meblowych na ul. Jaskrowskiej 21/23 pod nazwą „POLMETAL”. W 1938 r. założył fabrykę części rowerowych „BE-YOT”.

Ojciec był działaczem społecznym i politycznym z ramienia partii ortodoksyjnej, Agudat Israel, był także jej przedstawicielem w wielu organizacjach żydowskich i ogólnomiejskich.

Językiem macierzystym i ogólnie używanym w domu był żydowski, „jidisz”, ale wszyscy w domu znali i mówili po polsku.

Oprócz ojca, który utrzymywał kontakty handlowe ze społeczeństwem nieżydowskim, reszta rodziny utrzymywała stosunki towarzyskie, lub inne, wyłącznie ze społecznością żydowską.

Mieszkanie nasze mieściło się w centrum miasta, które było też ośrodkiem handlowym. Tamtejsze sklepy należały na ogół do Żydów. Plac Daszyńskiego służył też do różnych imprez i manifestacji. Z naszego balkonu mogłem obserwować pikiety członków partii endeckiej przed sklepami żydowskimi, którzy wygłaszali hasła antysemityczne jak „nie kupuj u Żyda – to dobra porada, kto kupuje u Żyda ten Polskę zdradza”. Od czasu do czasu przychodzili też młodzi i przeszkadzali endekom w wygłaszaniu tych haseł przez nawoływanie do kupna gazety „Robotnik – Organ Polskiej Partii Socjalistycznej”.

Z balkonu mogłem też obserwować pielgrzymki z całej Polski, które przechodziły przez Plac Daszyńskiego. Były to w moich oczach wielkie masy ludzi, wrogo nastawione do Żydów i dlatego też obawiałem się wychodzić z domu.

Sentyment ten wzmocnił się szczególnie, gdy w lipcu 1937 roku, tragarz żydowski w samoobronie zastrzelił tragarza Polaka. Tego dnia i w ciągu 2-3 dni bojówki endeckie na czele mas, które przybyły z okolicznych miasteczek i wsi, zorganizowały pogrom. Bojówkarze chodzili po mieście z kijami i napadali na Żydów, rozbijali szyby i rabowali żydowskie sklepy. Nie wychodziłem z domu i wystraszony, wyglądałem od czasu do czasu przez okno, ale tak, żeby nie można było mnie zauważyć z ulicy, bo obawiałem się, że będą rzucać kamieniami w nasze okna.

WYBUCH II WOJNY ŚWIATOWEJ

Od początku 1939 roku, ogólna atmosfera zbliżającej się wojny, która panowała w mieście, dała o sobie znać w domu. Rodzina często zbierała się, aby przez radio posłuchać wypowiedzi polityków z kraju i z zagranicy, a szczególnie z Niemiec. Odczuwało się nadchodzącą burzę i strach przed nieznanym.

W dniu wybuchu wojny, w piątek 1-go września 1939 r., wieczorem przed naszym domem zatrzymał się autobus a jego kierowca proponował chętnym przejazd, do Piotrkowa tzn. tym, którzy chcieli uciec z miasta przed zbliżającą się armią niemiecką. Cała rodzina wyjechała przepełnionym autobusem do Piotrkowa a stamtąd furmanką w kierunku Warszawy. Szosy były zatłoczone uciekinierami, którzy uciekali, pieszo lub na furmankach, przed czołwką niemieckiej armii, atakowani karabinami maszynowymi z samolotów niemieckich.

Wreszcie, w 4-tym dniu wojny, wyczerpani i głodni, dotarliśmy do Warszawy. Zdobyliśmy pokój przy rodzinie na ul. Twardej 10 i już wtedy zaczęła się walka z głodem. Mieszkańcy Warszawy posiadali zapasy żywnościowe, ale my, uciekinierzy, nie mogliśmy już kupić artykułów spożywczych. Sklepy żywnościowe były puste, lub też sprzedawano tylko znajomym klientom. Sytuacja się zaostrzyła, gdy po kilku dniach bombardowań niemieckich zabrakło bieżącej wody. Z tego też powodu warunki sanitarne były okropne a brak wody do picia dokuczał bardziej niż głód. Nie zapomnę radosnej chwili, kiedy zdołaliśmy kupić 5 śledzi i zaczęliśmy je łapczywie zjadać bez chleba.

Mama, bardziej rozsądna, błagała: „dzieci, czyście zapomnieli, że nie ma wody? Przecież śledzie was spalą!” Ale widocznie głód był silniejszy od rozsądku i mimo braku chleba jedliśmy śledzie bez niczego. Gdy pragnienie bardzo dokuczało, wybraliśmy się na brzeg Wisły, ale ostrzał brzegów rzeki zmusił nas do ucieczki.

Tak przetrwaliśmy około 4 tygodni oblężenia stołecznej Warszawy. W dzień, silny ostrzał artylerii niemieckiej a w nocy Niemcy bombardowali z samolotów dom za domem, ulicę za ulicą.

Po zakończeniu walk, oblężenia i upadku Warszawy wróciliśmy do okupowanej Częstochowy.

OKUPACJA NIEMIECKA

Od samego początku okupacji Niemcy zdołali nas zastraszyć poprzez ostrą działalność antyżydowską. Łapanki na przymusowe prace do Niemiec, zmuszanie do noszenia opasek z gwiazdą Dawida, podpalanie i burzenie synagog, wywłaszczanie majątków żydowskich i mianowanie komisarzy niemieckich w przedsiębiorstwach żydowskich, bicie żydowskich przechodniów i sporadyczne wypadki rozstrzeliwania Żydów bez żadnego powodu były na porządku dziennym.

W grudniu 1939 r., w godzinach wieczornych zauważyliśmy przez okna płomienie, które się wzmacniały i wspiwały wzwyż ze strony ulicy Garibaldiego. Okazało się, że Niemcy podpalili Nowa Synagogę. Cała dzielnica była okrążona przez policję, bez żadnej możliwości zbliżenia się do miejsca pożaru. Przez długi czas stałem przy oknie oszołomiony wielkimi płomieniami, do których nikt nie był w stanie dotrzeć i gasić.

Atmosfera w domu była bardzo ciężka i pełna strachu. Wywłaszczenie naszego przedsiębiorstwa pozostawiło naszą rodzinę bez środków do życia.

Aby ułatwić prowadzenie represji wobec Żydów, niemieckie władze okupacyjne zorganizowały przedstawicielstwo Żydów w Częstochowie pod nazwą „Rady Starszych”. Do tej funkcji powoływali działaczy społecznych, szczególnie przywódców partii politycznych. Rada ta miała wykonywać instrukcje władz niemieckich, a w szczególności zapewnić dostarczanie robotników żydowskich do różnych prac w mieście i okolicy, na wysyłkę do Niemiec i przekazywanie pieniędzy z kontrybucji nakładanych na ludność żydowską w ręce niemieckie. Z czasem Rada Starszych przekształciła się w miniaturową gminę żydowską, aparat administracyjny rozszerzył się i świadczył różne usługi społeczno-socjalne ludności żydowskiej.

Po naszym powrocie z Warszawy wezwali ojca i oznajmili mu, że stał się członkiem Rady Starszych.

Po krótkim czasie, wieczorem, wezwano ojca na posiedzenie, z którego wrócił o 3-ej nad ranem. Zaniepokojona rodzina wyczekiwała jego powrotu.

Kiedy w końcu wrócił, oznajmił, że więcej nie wróci do Rady Starszych, bo na posiedzeniu debatowali nad dostarczaniem Żydów do przymusowej pracy do Niemiec. Ojciec uważał, że Żydom nie wolno pomagać Niemcom w przekazaniu losu innych Żydów w ich ręce. Mimo wszelkich obaw, ojciec nie wrócił więcej do Rady Starszych.

Po wywłaszczeniu naszego przedsiębiorstwa, brat mój i ja, na ochotnika, zgłosiliśmy się do Wydziału Pracy Rady Starszych, aby nam dali jakąś pracę. Dołączyli nas do grupy pracowników, a niemiecki oficer zabrał nas do wielkiego magazynu, przed którym czekała na nas grupa SS-manów. Otworzyli magazyn i oficer oznajmił nam, że wszystkie skrzynie mamy przenieść do innego magazynu, który znajdował się na tej samej ulicy. Między dwoma magazynami Niemcy ustawili się w dwóch rzędach, a my we dwójkę mieliśmy nosić jedną skrzynię na rękach. Brat i ja tworzyliśmy dwójkę. Podczas wyjaśnień oficer trzymał rewolwer w ręce i groził nam, że jeżeli skrzynia spadnie na ziemię, to dostaniemy kulę w głowę. Skrzynie ważyły ok. 40 kg, a były w nich butelki szampana.

Z początku zdawało mi się, że zdołam wykonać tę pracę, ale po pierwszych kilku skrzyniach ręce moje nie były już zdolne do utrzymania skrzyni. Były zupełnie bezwładne i niezdolne do wszelkiego wysiłku. Brat, starszy ode mnie o dwa lata i silniejszy, zaproponował, że on będzie je nosił sam i prosił tylko, abym trochę podtrzymywał krawędź skrzyń. Niestety, nie mogliśmy tak kontynuować. Nie mogliśmy się długo zastanawiać, bo za nami stały dalsze dwójki, których nie mogliśmy zatrzymać.

Zdecydowaliśmy, że jeden z nas będzie nosił skrzynie na plecach a drugi będzie podtrzymywał rękami. Póki brat nosił skrzynie a ja je podtrzymywałem, to dawałem radę, ale kiedy brat nie mógł więcej sam ich nosić, to ja go zmieniałem. Było mi lżej dźwigać skrzynie na plecach niż na rękach, ale po pewnym czasie poczułem ostry ból w kostce karku. Okazało się, że skrzynie, które ocierały kostkę, poraniły ją do krwi. Nie pomogła moja chusteczka do nosa ani chusteczka brata tak, że wróciłem do domu zakrwawiony. Mama przykładła mi zimne okłady i rzewnie płakała.

Wszystkie szkoły żydowskie, oprócz Szkoły Rzemieślniczej, zostały zamknięte od początku okupacji. Kilka studentek i maturzystek żydowskich zorganizowało kursy nielegalne. Znane były kursy prowadzone przez Lonkę Goldstein i przez siostry Rybkę i Madzię Horowicz..

Szkoła Rzemieślnicza uważana była za „miejsce pracy”. Ja wstąpiłem do niej, ukończyłem kurs ślusarski a wieczorami, razem z bratem, pobierałem także lekcje u Rybki Horowicz.

DUŻE GETTO

W kwietniu 1941 roku powstało Duże Getto i wszyscy Żydzi mieszkający poza gettem musieli opuścić swoje mieszkania i przeprowadzić się do niego, co spowodowało tam wielką ciasnotę. Po utworzeniu Dużego Getta, wujek, Yakow Eli Edelist z córką, Dorką, którzy uciekli z Wielunia i dwie córeczki, siostrzenice ojca, Henia i Klara Prusinowskie z Łodzi, wprowadzili się do naszego mieszkania.

Pewnego dnia wujek poprosił mamę i ojca by weszli z nim do drugiego pokoju i przebywali tam w osobności, bez dzieci. Po pewnym czasie mama wróciła do nas wstrząśnięta, zdumiona i jakby zamyślona. „Wujkowi coś się stało” i wskazywała na głowę. „On opowiada niestychane rzeczy”. Mama mówiła nam, że wujek opowiada, że w okolicach Wielunia i miasteczka Krzepice, Niemcy transportują Żydów w ciężarówkach, z których słychać było straszne krzyki i modlitwę „Szma Israel...” (modlitwa żydowska odmawiana przed śmiercią).

Opowiadanie to było w naszych oczach zupełnie nieprawdopodobne. Nigdy po tej rozmowie nie wróciliśmy do tego tematu, aż do wysyłek Żydów do obozu śmierci w Treblince. Mimo nieprawdopodobieństwa tego opowiadania, nie przestałem o nim myśleć. Ogarniał mnie niepokój i ciągle myślałem o tym opowiadaniu, szczególnie, gdy zaostrzyła się działalność niemiecka przeciwko Żydom.

Jako absolwent szkoły rzemieślniczej, byłem często wysyłany przez Wydział Pracy Rady Starszych na różne prace „ślusarskie”, a szczególnie do naprawiania zamków w mieszkaniach Niemców. Za każdy dzień pracy dostawałem kilka złotych, które nam były potrzebne do budżetu rodzinnego.

Wykonywałem te prace w wielkim napięciu. Mimo faktu, że ukończyłem kurs ślusarki w szkole rzemieślniczej, nie miałem żadnej wprawy i nie dawałem sobie rady z naprawą zamku. Wykonywaliśmy te prace wspólnie z kolegą, Nirenbergiem, który też ukończył tę szkołę razem ze mną. W przypadku pracy w domach oficerów SS, właściciel takiego mieszkania pilnował nas z rewolwerem w ręce, co nas wprowadzało w większe napięcie i nie byliśmy w stanie wykonać pracy na czas.

Nie ominęły mnie też łapanki do Niemiec. Gdy wzmożyły się słuchy, że ma być łapanka na wysyłkę do Niemiec, postanowiliśmy w domu, że szwagier, brat i ja pójdziemy do naszej fabryki, aby się tam ukryć. Wyszliśmy z domu wieczorem, po godzinie policyjnej i

przekradliśmy się do fabryki na ul. Jaskrowskiej, w tej części, która była poza gettem. Po 2-3 godzinach usłyszeliśmy silne walenie w drzwi i okrzyki po niemiecku „Polizei”. Czterech uzbrojonych oficerów policji („Szupo”) wtargnęło na pustą salę wejściową. Rozstawili nas w trzech kątach sali. Jeden z nich został z nami a reszta rozpoczęła poszukiwania w fabryce. Gdy już nikogo więcej nie znaleźli, wrócili z okrzykami i zażądali, aby wydać 7 pozostałych Żydów ukrywających w fabryce. Nie pomogły żadne tłumaczenia, że oprócz naszej trójki nikogo nie ma w fabryce.

Zaczęli nas bić w taki sposób, że po każdym uderzeniu każdy z nas „fruwał” z jednego kąta sali na drugi, gdzie stał jeden z oficerów, który działał w ten sam sposób. Tak się nami zabawiali przez dłuższy czas i z wrzaskiem domagali, aby wydać siódmkę pozostałych.

Zrozumieliśmy, że był to donos naszego wieloletniego wartownika, który prawdopodobnie doniósł, że dziesięciu Żydów ukrywa się w fabryce.

Pobitych i pokrwawionych zawieźli nas na policję, a nazajutrz rano odstawili nas na punkt zborny na wysyłkę do Niemiec. Okazało się, że tego dnia mieli dość kandydatów na wysyłkę i z pomocą Bernarda Kurlanda, naczelnika Wydziału Pracy przy Radzie Starszych, zwolnili nas.

AKCJE

W „Sądny Dzień” („Jom Kipur”), żydowski dzień święta i postu, 21 września 1942 r., częstochowscy Żydzi mieli specjalne powody do postu i modlitwy. Wielki niepokój i strach ogarnął ludność żydowską w mieście. Wieczorem, w przeddzień postu, wszystkie bóżnice w mieście były przepełnione. Kapitan SS Degenhart, odpowiedzialny za przeprowadzanie „Akcji” – wysyłek Żydów – rozpowszechnił pogłoski za pomocą Rady Starszych, że nic złego nie stanie się Żydom w Częstochowie. Że Częstochowa nie pójdzie w ślady innych miast i nie będzie wysiedlenia.

Ale już nazajutrz wieczorem, po zakończeniu dnia postu, doszły do nas słuchy, że do miasta przyjechały oddziały Litwinów i Ukraińców, a nad ranem Duże Getto było otoczone tymi jednostkami, a getto było szczelnie zamknięte. Wyjście na ulicę było zabronione pod groźbą kary śmierci. W ogóle Niemcy w odniesieniu do Żydów nie uznawali innych kar. Za każde przekroczenie przeciwko ich przepisom groziła kara śmierci a właściwie rozstrzelanie na miejscu.

Po dwóch dniach, przez okno naszego mieszkania widziałem masy żydowskie gnane i popychane przez Niemców z ulicy Berka Joselewicza i z innych ulic na Plac Daszyńskiego. Z tego miejsca, w każdy dzień akcji, odprowadzano ok. 6000 Żydów przez ul. Dreszera, na stację towarową P.K.P. przy ul. Strażackiej.

Ponad 45 lat później, podczas mojego pobytu w Częstochowie odwiedziłem to miejsce. Były tam jeszcze tory kolejowe i długi drewniany barak z drzwiami z dwóch stron. Przyprawionych Żydów z tobołkami Niemcy wpychali do baraku a stamtąd wyciągano ich

przez drzwi z drugiej strony, bez tobołków i prosto do wagonów towarowych, które stały na stacji kolejowej.

Tę historię opisał mi starszy człowiek, sąsiad stacji, który obserwował wysyłanie Żydów z tej stacji do obozu śmierci w Treblince.

Nazajutrz po tej pierwszej akcji, przyjechały ciężarówki na róg Placu Daszyńskiego i N.M.P., z chlebem i marmoladą, które Niemcy rozdzielali ludziom na ulicy.

Byliśmy zupełnie zdezorientowani i nie wiedzieliśmy, co będzie dalej. Znowu krążyły pogłoski, że nie będzie więcej wysyłek, ale nikt już w to nie wierzył.

BUNKIER

Podczas tej trzydniowej przerwy po pierwszej wysyłce, mama zawołała nas wszystkich do kuchni gdzie ojciec już na nas czekał. Mama płakała a potem rzekła: myśmy już nasze życie przeżyli (miała wtedy ok. 45 lat). Wy, moje dzieci, jesteście młodzi i nie zdążyliście jeszcze żyć. Ratujcie się jakkolwiek będziecie mogli. Ojciec wyjął z kieszeni trochę banknotów, podzielił je na równe części, dał każdemu modlitewnik i dodał: każdy z was ma się ratować jak potrafi. Nie trzymajcie się razem i niech jeden nie spogląda na drugiego.

Po tej naradzie rodzinnej rozpoczęliśmy przygotowywać w piwnicy naszego budynku miejsce do ukrycia – „bunkier” dla rodziny i dla części sąsiadów. Wejście do piwnicy było pod naszym mieszkaniem i zamierzaliśmy wybudować w piwnicy ścianę na końcu oficyny, która stwarzałaby wrażenie, że to już koniec piwnicy.

W budynku naszym był sklep wyrobów budowlanych i metalowych, który należał do rodziny Cymermanów, a w jego podłodze była kłapa, którą można było otworzyć i zejść po ruchomych schodach do piwnicy. Na klapie stała masywna lada, która ją zakrywała.

Uporczywie i z entuzjazmem zabraliśmy się, brat mój i ja, do roboty. Narzędzia i cement braliśmy ze sklepu Cymermanów, a cegły przynosiliśmy z jakiejś budowli w getcie. Po krótkim czasie, ściana z cegieł (jedna warstwa) była gotowa i bunkier mógł pomieścić ok. 25 osób. Starczył on dla naszej rodziny, dla części rodzin Cymermanów i Stopnickich, a resztę pozostawiliśmy dla zainteresowanych sąsiadów. Byli tacy sąsiedzi, którzy uważali, że taki bunkier jest śmieszny i niebezpieczny i nie potrafi nikogo uratować.

Trzeciego dnia rozpoczęła się nowa akcja (w innych dzielnicach miasta) i trzeba było przerwać wszelką działalność w związaną z bunkrem. Nazajutrz po akcji nastąpiła ponownie przerwa i wróciliśmy do spraw bunkra. Bunkier był gotowy, ale wyłoniły się nowe problemy.

Trzeba było zaopatrzyć bunkier w żywność. Zupełnie nie wiadomo było, ile czasu trzeba będzie pozostać w bunkrze. Nikt nie śmiał myśleć o tym, co będzie po akcjach. Dokąd będzie można się udać, jeśli zostaniemy przy życiu?

W naszym budynku była fabryczka słodyczy a jej właściciel, Dresler, nie pokazywał się przez cały czas akcji. Wszyscy sąsiedzi byli zdania, że w naszym położeniu powinniśmy wyłamać drzwi, aby zapewnić żywność dla ludzi w bunkrze.

Okazało się, że były tam wielkie ilości cukru i kakao. Nie zapomnę chwili, gdy przyniosłem miskę z kakao i cukrem i postawiłem ją na łóżku mojej chorej mamy.

Było to po drugiej akcji. Ojca i brata już nie było w domu. Bernard Kurland, kierownik wydziału pracy przy Radzie Starszych, przyszedł do domu i zawiadomił nas, że jest w stanie przemycić dwóch mężczyzn do Metalurgii, punktu zbornego pozostałych przy życiu z poprzednich akcji, pod warunkiem, że pójdą z nim przebrani za robotników i bez żadnych bagaży. Decyzja zapadła od razu. Ojciec i mój starszy brat mieli pójść z Kurlandem, a ja miałem zostać z mamą i siostrą, aby zejść z nimi do bunkra.

Czwartego października 1942 r. odbyła się czwarta akcja (była to najgorsza z wszystkich akcji) i z samego rana przyszedli policjanci granatowi i żydowscy na podwórko naszego domu i nawoływali mieszkańców do wyjścia na Plac Daszyńskiego, by stawić się na akcję. Wziąłem mamę, siostrę, kuzynkę i wujka razem zaczęliśmy schodzić do bunkra. W tej ostatniej chwili ktoś zapytał: „co będzie, jeśli wszyscy będziemy w bunkrze i nikt nie będzie z nami w kontakcie (o losach ojca i brata nie mieliśmy żadnych wiadomości)”. Jedynym wyjściem było, że ja pójde na akcję i jeśli nie zostaną zesłany, będę mógł się kontaktować z bunkrem.

Biegiem opuściłem dom w kierunku miejsca akcji na Placu Daszyńskiego, między ulicami Dreszera i Berka Joselewicza. Na miejscu stał już Degenhart z grupą oficerów niemieckich i policji niemieckiej, a przed nimi stali ustawieni w piątce Żydzi w kierunku od pierwszej Alei N.M.P. do miejsca akcji. Z szeregu wychodzili pojedynczo, jeden za drugim, i stawali przed Degenhartem.

Było to straszne widowisko. Dzień był słoneczny, ale ze strachu nic nie widziałem i nie wiedziałem, co się ze mną dzieje. Przez moje opóźnienie nie wiedziałem gdzie stanąć. Czy lepiej na końcu – na rogu Pierwszej Alei, czy też na czele szeregu? Nie wiedziałem gdzie lepiej, jak gdyby miejsce w szeregu miałoby jakikolwiek wpływ na mój los. Podniosłem głowę i rozglądałem się wokół wielkiego placu. Był on okrążony przez Niemców w różnych mundurach (Gestapo, wojsko, policja), Ukraińców i Litwinów i granatową polską policję. Od czasu do czasu strzały zakłócały spokój panujący na placu, oznaczały trup Żyda, który się ukrywał albo, który chory, lub też przez nieostrożność wyszedł na ulicę. Nie można sobie wyobrazić panującej na placu strasznej ciszy mimo kilkutysięcznego tłumu. Rodzicom udawało się nawet uspokajać dzieci i niemowlęta. Ta absolutna cisza wzmacniała strach i niepokój przed nieznanym.

Każdy z nas, kto zatrzymał się przed Degenhartem, panem życia i śmierci każdego z nas, czekał na to, aż ten morderca skłoni swoim trzciniowym biczem w lewo albo w prawo: skłonienie w lewo oznaczało wywóz w nieznaną, a w prawo – pozostanie w mieście. Mimo naszej nieświadomości każdy z nas strasznie się bał, że wymierzony bicz skłoni się w lewo.

W końcu nadeszła moja kolej. Stałem przed Degenhartem, który skłonił rękę w lewo, ale w tej samej chwili wypowiedziałem dwa słowa po niemiecku: „Jestem ślusarzem”. Bernard Kurland z Rady Starszych, który stał w czołówce razem z Degenhartem,

potwierdził moją wypowiedź i zaznaczył, że zna mnie osobiście. To wystarczyło, aby mnie pozostawić przy życiu.

MAŁE GETTO

Pozostałych z akcji, ok. cztery tysiące osób, spośród czterdziestu tysięcy Żydów z Częstochowy i okolicy, wtłoczono do Małego Getta, które mieściło się koło rzeki Warty. Getto zostało izolowane drutem kolczastymi i objęło część ulic – Jaskrowskiej, Mostowej, Nadrzecznej i Garncarskiej – Kozia i Senatorska. U wylotu Garncarskiej była jedyna brama. Stąd wychodzili mieszkańcy getta do pracy i tędy też wracali. Na ulicy Koziej mieszkały wyłącznie kobiety.

Rodzina nasza skupiła się w jednym pokoju i w małej kuchence, która przekształciła się w sypialnię, bo nie było dozwolone używanie kuchni prywatnych. Getto było właściwie obozem pracy, z tą różnicą, że mieszkało się w budynkach a nie w namiotach czy w barakach. Do pracy wychodziło się poza getto. Była wspólna kuchnia i pralnia. Część mieszkańców pracowała przy obsłudze getta, a obecność mieszkańców poza obsługą w godzinach pracy była zabroniona.

Częste były łapanki w getcie – do Treblinki, na rozstrzał na cmentarzu żydowskim i do obozu pracy w Skarżysku.

W getcie nie było normalnego życia, jego mieszkańcy raczej wegetowali. Wychodzili rano do pracy a wieczorem wracali po dwunastogodzinnym dniu pracy wyczerpani i zrezygnowani. Ja wychodziłem do pracy w odlewni „Wulkan”, a po pewnym czasie zacząłem pracować w fabryce broni Hasag-Pelcery aż do likwidacji małego getta.

Ojciec pracował w magazynie, gdzie rozdawano ubrania, matka pracowała w pralni, siostra i szwagier w „Rawo” a brat w Hucie Raków.

25 czerwca 1943 r. po ukończeniu pracy, nie wróciliśmy do getta i wszyscy robotnicy żydowscy zostali umieszczeni we wielkiej sali, której podłoga była pokryta słomą. Nikt nie miał prawa wyjść z sali aż do rana następnego dnia.

Leżałem w kącie na ziemi w wielkim strachu, nie wiedząc, jaki będzie nasz los. Słuchy były różne. Na ogół uważano, że wyślą nas, nie wiadomo, dokąd.. Nikt nie wiedział, co się dzieje w getcie. Nie miałem pojęcia, co się stało z ojcem i matką, którzy zostali w getcie.

Nazajutrz, Niemcy przyprowadzili do Hasagu większość mieszkańców getta a między nimi moich rodziców. Od nich dowiedziałem się o likwidacji getta i o morderstwach chorych i dzieci. Siostrę i szwagra przyprowadzili też z ich miejsca pracy do Hasagu. Brat mój nie był z nami. Został skoszarowany w Hucie Raków a po pewnym czasie przeniesiono go do naszego obozu.

W pierwszych miesiącach było mi bardzo ciężko. Pracowałem w wydziale transportu w jednostce zwanej „ciężki transport”. Przenosiliśmy (we dwójkę) długie rury stalowe

z wagonów do fabryki, woziliśmy ciężki sprzęt na sale produkcyjne i wyładowywałem węgiel z wagonów (jeden pracownik na wagon).

Po dniu pracy nie mogłem już stać na nogach. Głodowałem. Racja czarnego chleba o smaku gliny i zupa z buraków nie były w stanie zaspokoić mojego głodu. Gdy nadeszła zima zostałem w sandałach, które nosiłem w pierwszym dniu skoszarowania i które w ogóle nie nadawały się na deszczowe dni.

Po kilku miesiącach udało mi się przenieść do wydziału budowlanego. Myślałem, że mi będzie lżej, ale rozczarowałem się. Zostałem przydzielony do noszenia na plecach blaszanych puszek betonu po rusztowaniach budującego się budynku. Każda puszka ważyła ok. 60 kg. Udało mi się jednak zmienić tę pracę i zostałem przeniesiony do grodzienia terenu barakowego drutem kolczastym. Miałem tu okazję pracować na granicy obozu z widokiem na pola, które otaczały obóz i pracowałem sam a nie w grupie.

Bardzo trudno było wstać rano na apel, który odbywał się codziennie rano przed wyjściem do pracy. Spaliśmy na trzypiętrowych pryzkach wyścielonych słomą, której nie wymieniano. Po krótkim czasie wylęgły się wszy, których nie można było się pozbyć i które nas „zjadały”.

PRZEMYCANIE CHLEBA DO OBOZU

Podczas mojej pracy ogradzania obozu kolczastym drutem zauważyłem chłopca pastucha na polu i dałem mu znak, aby podszedł do mnie, ale chłopak był wystraszony i bał się zbliżyć do obozu. Zdołałem go jednak przekonać obietnicą zarobienia pieniędzy i zaproponowałem mu, aby kupił bochenek chleba i położył koło drutów kolczastych. Chłopak zażądał 50 zł za bochenek (dwukilowy) białego chleba. Przyrzekłem, że położę banknot 50-złotowy poza drutami a on mi położy chleb, gdy będzie już miał banknot w ręce.

Nazajutrz przerzuciłem opakowany papierem banknot poza druty, a po niedługim czasie chłopak przyniósł bochenek białego chleba i zostawił go poza drutami. Przyciągnąłem chleb drutem i z wielką radością wąchałem zapach świeżego chleba, którego już tak dawno nie zaznałem.

Przemycenie chleba nie skończyło się na tym. Aby przenieść chleb do naszego baraku trzeba było przejść przez teren fabryczny i tu groziło niebezpieczeństwo przyłapania przez wartowników („Werkschutz”) obozu. Zdobyłem stary płaszcz deszczowy, który zawiesiłem na ramionach, a bochenek chleba włożyłem do spodni na brzuchu. Płaszcz o wielkich rozmiarach zakrył zupełnie bochenek chleba.

Zachęcony powodzeniem przemytu, powiększyłem ilość bochenków, które przenosiłem z pomocą mojego brata, który pomagał mi przemycać chleb kilka razy dziennie. Sprzedawanie dużej części chleba pozwoliło mi na zdobycie kilku kromek dla całej rodziny.

Mimo nabytej umiejętności przemykania i ostrożności przyłapał nas Szttyglic, naczelnik warty fabrycznej i oprócz konfiskaty chleba, zabrali mojego brata na „wachę” (budynek warty fabrycznej) i tam pobili go batem.

Gdy wartownik przyłapał nas po raz drugi, „zaprosił” brata, by przyszedł nazajutrz na „wachę”. Za zgodą rodziny stawiałem się ja na ochotnika zamiast brata. Ilość batów, które dostałem, była podwójna, a po tym nie byłem w stanie siedzieć. Na dodatek zagrozili mi, że w wypadku powtórnego przemycenia nie ujdę z życiem, więc przerwałem zajmowanie się przemytem.

PRACA W KOMINIE I UREA

Niemiecki majster budowy wybrał mnie na pomocnika do pracy przy budowaniu komina. Praca majstra polegała na wykładaniu cegieł na wewnętrznych ścianach komina. Moje pomocnicze prace były ciężkie, ale warunki pracy były o wiele lepsze. Po pierwsze oprócz majstra nie było żadnego nadzoru. Moim przełożonym był starszy człowiek, który nie był nazistą. Od czasu do czasu przed rozpoczęciem pracy wyciągał z kieszeni kromkę chleba i mawiał: „Ja wiem, że na pryczy pokrytą słomą, pełną wszy, nie możesz spać. Połóż się spać na cegłach a ja sobie poradzę. Ale nikomu nie opowiadaj, bo mnie zabiją”.

„Raj” ten nie trwał długo. Po krótkim czasie dostałem zapalenia nerek (prawdopodobnie spowodowane leżeniem na zimnych cegłach) i zapadłem na ureę. Ciśnienie krwi wzrosło i nie byłem w stanie oddychać. Wzięli mnie do „szpitala” i leczył mnie dr Przyrowski, znajomy moich rodziców. Leczenie polegało na tym, że w wypadkach ataków duszności odciągał mi około pół szklanki krwi. Z gorzkim humorem powiedział mi: „Tak długo jak będziesz miał krew w żyłach, to masz widok na ratunek”.

Po wyjściu ze szpitala nie wróciłem do pracy. Mój majster chyba się nie upominał o swojego pomocnika i nie figurowałem na żadnej liście pracowników. Zdecydowałem nie wracać do żadnej pracy. Nie wychodziłem na ranny apel. Nie wychodziłem poza teren barakowy i pomagałem ojcu w pracach czyszczenia baraku.

WYZWOLENIE

15 stycznia 1945 r. usłyszeliśmy ostrzał artylerii. Armia radziecka znajdowała się na przedmieściach miasta. Wydostałem się z terenu baraków na teren fabryczny. Sale fabryczne były opuszczone, a przez okna mogłem obserwować ucieczkę dyrekcji przedsiębiorstwa Hasag-Pelcery. Samochody stały przed budynkiem mieszkalnym niemieckiego personelu a Niemcy ładowali do nich z pośpiechem walizki i tobołki.

Wróciłem z dobrymi wieściami na teren barakowy. Nikt nie wyszedł do pracy, mieszkańcy baraków, dezorientowani, gromadzili się przed barakami rozważając sytuację i zastanawiali się jak postąpić.

Po południu nadjechał pociąg towarowy i zatrzymał się przed bramą terenu barakowego. Sztyglic wszedł na teren barakowy, zatrzymał się na placu przy bramie i zwrócił się do zebranego tłumu. Oznajmił, że armia radziecka jest na przedmieściach, i że on przyszedł, aby nas uratować z rąk radzieckich. W tym celu postarał się o pociąg, aby zabrać

wszystkich Żydów na Zachód. Ostrzegł, że ktokolwiek zostanie w obozie zginie z rąk Sowietów.

Zdania w tłumie były podzielone. Rozpowszechniły się słuchy, że przed opuszczeniem innych obozów Niemcy wpychają więźniów żydowskich do baraków i je podpalają. Z tego powodu część zebranych weszło do wagonów, aby uniknąć podobnego losu. Ja stałem z ojcem i bratem niedaleko bramy i razem z tłumem zbliżaliśmy się do pociągu, ale w chwili, gdy stanęliśmy przed pociągiem, zawróciliśmy na teren baraków. Powstała ciekawa sytuacja: zebrani na placu koło bramy dochodzili do pociągu – część wchodziła do wagonów a część zawracała tuż przed wagonem na teren barakowy, aby znowu stanąć przed pociągiem. Nikt właściwie nie zmuszał nas do niczego.

W końcu doszliśmy do wniosku, że nadeszła chwila ratunku i że należy uciekać a nie wchodzić do wagonu. Ja z bratem uciekłem na teren fabryczny i ukrywaliśmy się między maszynami a matka i siostra ukrywały się w magazynie kuchni obozowej, w miejscu pracy szwagra. Tego samego wieczoru cała rodzina ukryła się razem w magazynie kuchni.

Nad ranem 16 stycznia 1945 r. wyszliśmy na wolność główną bramą przedsiębiorstwa Hasag.

PO WYZWOLENIU

Quo Vadis było bardzo aktualnym pytaniem dla pozostałych przy życiu Żydów częstochowskich. Obranie drogi życia po Holocauście było niezwykle skomplikowane dla Żydów jako społeczności a także dla każdego z nas.

Na pierwszym etapie powstał „Komitet Żydowski”, który reprezentował pozostałych przy życiu Żydów. Komitet prowadził działalność kulturalną i społeczną. Komitet dostał ładny dwupiętrowy budynek na ul. Jasnogórskiej, który przekształcił się w „Dom Dziecka”. Umieszczono w nim nieliczne sieroty i dzieci repatriantów z Rosji. Komitet organizował akademie i inne imprezy kulturalne oraz zorganizował naukę dzieci i młodzieży. Komitet rozdzielał też produkty żywnościowe i inne produkty pierwszej potrzeby.

Większość Żydów dążyła jednak do opuszczenia Polski, szczególnie do wyjazdu do Palestyny – a ruch syjonistyczny rozpoczął silną działalność w miastach, w których były skupiska żydowskie. Do masowej emigracji Żydów i do ich ucieczki z Polski przyczyniły się ekscesy antysemickie, a szczególnie pogrom w Kielcach, podczas którego zamordowano kilkudziesięciu Żydów. Mimo istniejącego Komitetu wyłonił się drugi organizm żydowski „Zrzeszenie Religijne”.

Komitet był oficjalnym przedstawicielem społeczności żydowskiej wobec rządu i popierany był przez partię komunistyczną. Komitet ten posiadał też środki pieniężne na swoją działalność i na pomoc dla Żydów częstochowskich.

Przewodniczącym Komitetu był Liber Brenner, przywódca żydowskiej partii socjalistycznej (antysyjonistycznej) Bund a jego czynnymi członkami byli Jadzia Brenner, członkini PPR, dyr. wydziału młodzieży i kultury, adw. Lowa Bojnm, Abram Czarny,

członkowie PPR i inni. Przewodniczącym Zrzeszenia był mój ojciec, Noach Edelist, a jego działaczami byli Jechiel Landau, Lipman Reicher, Itzchak Zander, Dawid Koniecpoler i inni. Zrzeszenie starało się o utrzymanie tradycji żydowskiej, i prowadziło działalność społeczną. Rabin Weisler został mianowany Rabinem Częstochowy i utworzono koszerną kuchnię publiczną, która wydawała darmowe posiłki biednym i samotnym Żydom.

Osobiście byłem w wielkiej rozterce. Zaraz po wojnie wstąpiłem do ruchu syjonistycznego a wyjazd do Palestyny był dla mnie celem życia. Z drugiej strony po pięciu latach wojny nie miałem ani wykształcenia ani zawodu. Ostatecznie powziąłem decyzję – opuścić Polskę, ale najpierw zdobyć maturę. Była to, jak się okazało, ciężka decyzja:

Z powodu mojego religijnego wykształcenia i wychowania nie władałem dość dobrze językiem polskim i nie znałem też literatury i kultury polskiej. Na dodatek, zaraz po zakończeniu wojny urząd miejski Częstochowy ogłosił otwarcie szkoły średniej dla dorosłych, ale przyjęcie do szkoły było uwarunkowane wstępnymi egzaminami. Mimo wszystkich trudności udało mi się zdać wszystkie egzaminy i dostać do 4-klasy gimnazjalnej po kilkumiesięcznym przygotowaniu.

Moja osobista sytuacja była bardzo ciężka. Podczas mojego pierwszego roku szkolnego byłem jedynym żydowskim uczniem. W tym czasie panował ostry antysemityzm i odczuwałem to w mojej klasie mimo kilku dobrych kolegów, którzy mnie bronili. Przykładem tego ostrego antysemityzmu może być fakt, że na egzaminy do małej matury dostałem pozwolenie na posiadanie broni i zdawałem niektóre egzaminy z rewolwerem w kieszeni (nie zapominajmy, że były to czasy pogromu w Kielcach). Z drugiej strony, jako że byłem znany jako aktywista syjonistyczny, to miałem trudności z dostawianiem pomocy z Komitetu.

Nie zapomnę następującego przypadku: w marcu 1946 r. w wielkiej sali Komitet Żydowski urządził akademię żałobną dla Żydów częstochowskich. Razem z kilkoma kolegami postanowiliśmy, że nie może odbyć żydowskiej uroczystości bez hymnu narodowego „Hatikwa” – wtedy był to hymn ruchu syjonistycznego. Zorganizowaliśmy się w ten sposób, że na dany znak w kilku miejscach na sali ktoś zaczął śpiewać w założeniu, że cała publiczność się przyłączy i tak też się stało. Po tym wydarzeniu zostałem wezwany do kierowniczkii wydziału kultury i młodzieży, która dowiedziała się o moim udziale w zorganizowaniu śpiewu hymnu i to było powodem pozbawienia mnie mojego stypendium.

Rodzina nie czekała na mnie z wyjazdem z Polski i już w 1946 r. rodzice wyjechali do Paryża a stamtąd do Izraela. Brat także wyjechał (po przemyczeniu granicy niemieckiej) przez Paryż do Izraela. Ja opuściłem Polskę w lipcu 1947 r. Sytuacja związana z wyjazdem z Polski do Palestyny była bardzo skomplikowana. W pierwszym okresie po wojnie rząd polski nie utrudniał wyjazdu polskich Żydów do Palestyny. Było to związane z ówczesną linią polityczną Związku Radzieckiego, który widział wtedy w ruchu syjonistycznym ruch oporu przeciwko imperializmowi angielskiemu. Trudność polegała na tym, że angielskie władze mandatowe w Palestynie nie wydawały wiz do Palestyny.

Stan ten powodował nielegalną imigrację do Palestyny i nielegalną emigrację z Polski, to znaczy przemykanie przez granicę polską (do Niemiec, Czechosłowacji, Rumunii) i dalej, do Palestyny.